

Przegląd amerykański XXIV

Jacek Koronacki

„Modern Age” przeciw fałszywemu konserwatyzmowi

Konserwatyzm inaczej

Profesor George Carey ma rację pisząc, że scena polityczna jest dobrym punktem wyjścia do bliższego przyjrzenia się zanikowi tradycyjnego konserwatyzmu w amerykańskich instytucjach i, szerzej, kulturze politycznej („Modern Age” 47/4, jesień 2005). Trudno wszak nie uznać, że warta jest zbadania anomalia na tym polegająca, iż ów zanik dzieje się w czasie, gdy zarówno Kongres, jak i prezydent pozostają pod kontrolą Partii Republikańskiej. W ślad za władzą wykonawczą, republikańscy kongresmani nie przejmują się rozrostem wielkich i kosztownych programów federalnych, centralizacją, rozrostem biurokracji oraz zwiększającym się zadłużeniem państwa. Nie ma na ziemi człowieka, który potrafiłby uzasadnić te zjawiska odwołaniem się do tradycyjnych ideałów konserwatywnych. Nikt też nie potrafiłby uzasadnić wojny w Iraku przywołując Russella Kirka, Roberta Nisbeta, czy Richarda Weavera.

Carey wspomina, jak to Condolezza Rice odwołując się do rewolucji francuskiej w swoim wystąpieniu w *Institute d'Etudes Politiques de Paris* z 8 lutego 2005r. oświadczyła, że *Założyciele obydwu republik, francuskiej i amerykańskiej, inspirowali się tymi samymi wartościami i sobą nawzajem. Dzielili uniwersalne wartości wolności, demokracji i ludzkiej godności, którymi powodowali się mężczyźni i kobiety przez wieki. Zdaniem republikańskiej (sic!) sekretarz stanu historii obydwu krajów były wzajemnie splecione, podobne były rewolucje i ideały, które z obu krajów miały promieniować na świat.*

A jednak prezydent Bush junior uznawany jest przez media i wpływowych komentatorów za jednego z najbardziej konserwatywnych przywódców Ameryki w historii, zaś ewolucja Partii Republikańskiej przebiega niezauważona. Nikomu – poza garstką tradycyjnych konserwatystów -- nie przychodzi do głowy, że republikańscy politycy powinni przynajmniej przyznać, że nie reprezentują już żadnego konserwatyzmu. Krótko mówiąc, jesteśmy świadkami procesu niezwykłego, który ostatnio nabrał przyspieszenia – podczas, gdy amerykański pejzaż polityczny zmienił się nie do poznania, język polityków pozostał ten sam.

Dlaczego republikańscy politycy godzą się z takim oszustwem? Carey widzi źródła tego procesu w amerykańskiej kulturze politycznej. Pomijając historię wcześniejszą, przypomina, że prezydent Woodrow Wilson przewidywał ogromny wzrost znaczenia prezydenta i że za takim wzrostem się opowiadał. Wilson widział w prezydencie przywódcę całego narodu, realizującego wybory ideowe i polityczne swojej partii dla dobra całej ojczyzny. Widział potrzebę silnych partii, ponieważ tylko takie uznawał za zdolne do prowadzenia stabilnej i rozsądnej polityki, oraz przyjmowania odpowiedzialności za tę politykę. Silna partia miała zarazem zapewnić -- zdaniem Wilsona zdrowy -- mariaż władzy ustawodawczej (Kongresu) z władzą wykonawczą (prezydentem). Taki ustrój był doskonale sprzeczny ze ścisłym

trójpodziałem władzy oraz precyzyjnym ograniczeniem kompetencji władz federalnych, wprowadzonymi do Konstytucji przez Ojców Założycieli. Wszakże wiek XX już nauk Ojców Założycieli nie chciał pamiętać. Jak pisze prof. Carey, Wilson *był jednym z pierwszych, którzy zarysowali system prezydencki będący pierwowzorem ustroju bliskiego wielu dzisiejszym politologom i mającego za swą podstawę zdyscyplinowaną partię.*¹

Wilson i jego intelektualni uczniowie wyobrażali sobie, że prezydent będzie przywódcą propagującym i wprowadzającym w życie idee oraz pryncypia dzielone przez szerokie partyjne rzesze. Nie przyszło mu do głowy, że ów przywódca będzie mógł redefiniować wartości, jakim partia tradycyjnie służyła i uzyskiwać od niej zgodę na zmierzanie do celów sprzecznych z zasadami tradycyjnie uznawanymi za niezachwiane, czyniąc to ze szczególną łatwością w tych okresach, w których jego partia ma przewagę w obydwu izbach Kongresu. Jedynym ograniczeniem jest wówczas partykularny interes kongresmanów, a ten najłatwiej zaspokoić oferując regionowi, który dany kongresman reprezentuje, udział w zyskowych dla regionu programach federalnych.

Wiek XX sprzyjał spopularyzowaniu w społeczeństwie amerykańskim idei silnej prezydentury, a właściwie idei wielkości tego urzędu i osoby urząd pełniącej. „Wielkim” było zostać stosunkowo łatwo, gdy zdarzała się wojna światowa i udawało się w nią wciągnąć Amerykę. Ale gdy wojny nie było, i nie dawało się jej „wymyślić” (ostatnio uczynił to Bush junior z pomocą neokonserwatystów), „wielkość” mogły przynieść wielkie programy rządowe. Był zatem „Nowy Ład” Franklina Roosevelta, trzeba przyznać zrodzony z kryzysu groźnego jak wojna, bo z Wielkiej Depresji, ale było też „Wielkie Społeczeństwo” Lyndona Johnsona i cała masa mniejszych inicjatyw „społecznych” wszystkich niemal prezydentów po kolei². Ponieważ lud kochał wielkich prezydentów, każdy chciał – jeśli tylko został wybrany na drugą kadencję³ – pozostawić po sobie spuściznę historycznej wagi. Wspólnym mianownikiem całego procesu była centralizacja, marsz ku omnipotencji władzy federalnej.

Cieszyli się prawie wszyscy – lud, mający „wielkiego” przywódcę, jego partia, mająca dostęp do federalnych pieniędzy, a więc i szanse na wyborcze zwycięstwo w przyszłości za sprawą wdzięcznych wyborców oraz jedyni, którzy naprawdę na tym korzystali, czyli rzecznicy postępu. Ci ostatni zawsze byli świadomi, że inżynieria społeczna wymaga silnej prezydentury i przeto zawsze się za silną prezydenturą opowiadali⁴. Niezadowolona była mniejszość, świadoma, że „wielkość” prezydenta jest opłacana z ich podatków i że, co gorsza, niszczone są etyczne fundamenty Ameryki.

¹ Ze stwierdzenia tego nie należy wnosić, że według Careya prezydent Wilson należał do najwcześniejszych burzycieli ładu postulowanego przez Ojców Założycieli. To prawda, że Wilson był zwiastunem dziś popularnego prądu w politologii, ale burzenie wspomnianego ładu zaczęło się znacznie wcześniej, o czym prof. Carey nieraz pisał. W literaturze polskiej prof. Bartyzel wskazał, że pierwszym, który przystąpił do burzenia systemu hamulców i przeciwwag (ang. *checks and balances*) był już prezydent Andrew Jackson ze swoimi demokratycznymi reformami.

² W opublikowanej w numerze 48/2 (wiosna 2006) glossie do eseju Careya, prof. Paul Gottfried zwraca uwagę, że republikański opór przeciwko państwu opiekuńczemu zaczął wędznąć bardzo wcześnie, bo już w epoce rządów Franklina Roosevelta, czego znakiem była w roku 1936 nominacja na republikańskiego kandydata do walki o prezydenturę Alfreda Landona, umiarkowanego zwolennika państwa opiekuńczego.

³ Pierwsza kadencja jest tylko przepustką do starań o pozostawienie po sobie „historycznej” spuścizny. Powtórnie wygrane wybory prezydenckie są znakiem społecznego przyzwolenia na podjęcie przez zwycięzcę działań śmiałych, dowodzących jego „wielkości”.

⁴ Gwoli ścisłości trzeba tu nadmienić, że jednocześnie, poczynawszy od lat 60-tych XX wieku, tzw. Nowa Lewica opowiadała się konsekwentnie przeciwko rozrostowi kompleksu militarno-przemysłowego.

I tak dzieje się po dziś dzień, coraz szybciej i głębiej za sprawą mediów, ponieważ te uczyniły z wyborów procedurę, której sprostać mogą tylko kandydaci chorobliwie ambitni, o cechach patologicznych.

Tradycyjnie pojmowane zasady zostały w wyniku tego procesu wyrugowane z dyskursu politycznego. Liczy się władza i poparcie dla prezydenta, któremu udało się zostać wybranym na drugą kadencję. „Pobożni socjaliści”⁵ z Partii Republikańskiej oraz, wypada dodać, neokonserwatyści nazywają się konserwatystami, ale to ostatnie słowo nic już nie znaczy poza tym, że mianem tym umówiono się określać wymienione dwie grupy. Jak dobrze wiadomo, kluczową rolę w tej redefinicji konserwatyzmu odegrali właśnie neokonserwatyści (o czym piszę może aż nazbyt często, ponieważ od pierwszego odcinka poczynając, ale tak niestety jest, że inaczej nie da się pisać o współczesnym amerykańskim „konserwatyzmie”).

George Carey zdaje się widzieć jakąś nadzieję w odejściu konserwatywnie nastawionej części społeczeństwa amerykańskiego od „automatycznego” udzielania poparcia jednej partii, czyli Partii Republikańskiej. We wspomnianej glosie nie zgadza się z nim prof. Gottfried:

Bardziej zrównoważony udział we władzy obydwu lewicowych [podkreślenie moje] partii rządzących dziś Ameryką, obydwu żywotnie zainteresowanych utrzymaniem aktualnego systemu, prowadzi do nikąd. Jedyнным sposobem osiągnięcia pożądanych zmian jest skłonienie społeczeństwa, czy raczej tej jego części, która nie dała się kupić państwu menedżerskiemu, by wymusiła koniec tego państwa.

Małe republiki Jeffersona

Państwo menedżerskie, jakim jest dziś USA, jest państwem o scentralizowanej i silnej władzy. Carey i Gottfried, także inni konserwatyści zgadzają się, że trzeba szukać dróg powrotu do normalności, o ile taki powrót jest jeszcze w ogóle możliwy.

Arthur Versluis z Uniwersytetu Stanu Michigan pisze w numerze 48/1 (zima 2006) „Modern Age” o dzisiejszych Stanach Zjednoczonych podobnie do Careya i Gottfrieda. Pisze o scentralizowanym państwie menedżerskim z gigantyczną biurokracją rządzącą edukacją, programami państwa opiekuńczego, kompleksem militarno-przemysłowym i aparatem bezpieczeństwa, a to znaczy pisze o państwie na drodze do totalitaryzmu. I pisze o tym jak „prawica” coraz mocniej identyfikowała się z takim państwem. Przypomina też, za Carlem Schmittem, paralityczną naturę demokratycznego liberalizmu, opisaną przez tamtego badacza na przykładzie Republiki Weimarskiej. Zaś odnosząc tamtą obserwację do amerykańskiej współczesności stwierdza:

Bliższe studium fin de siècle’u Kongresu Stanów Zjednoczonych oraz władzy wykonawczej odkrywa ich podobną [paralityczną] naturę, może nawet z większą jasnością – pozowanie i mądre miny kongresmanów i prezydentów przed kamerami, ale gdy przychodzi do decydowania o fundamentalnych kwestiach dnia dzisiejszego, bierne zachowywanie status quo. Rosnące z zawrotną prędkością zadłużenie państwa, osiągające niewyobrażalne rozmiary, nieznanne z historii zadłużenie osobiste i korporacyjne, niszczące środowisko naturalne i kompletna nieumiejętność zachęcenia do oszczędzania energii – oto kwestie dziś fundamentalne, na które legislatura i władza wykonawcza nie potrafią zareagować, w dużej

⁵ Jak powiedziała by red. Stanisław Michalkiewicz.

mierze dlatego, że to ich polityka jest w istotnej części odpowiedzialna za zaistniały stan rzeczy. [...] Patrząc z dłuższej perspektywy nie jest istotne, kto akurat jest górą w wyścigu o kontrolę nad władzą legislacyjną, wykonawczą czy sądowniczą. Istotne jest, czy władza federalna zwiększa się, czy zmniejsza. Bieg wydarzeń w wieku XX i na początku wieku XXI pokazuje stały wzrost potęgi państwa.

Jak starać się ten trend odwrócić? Versluis nie jest pierwszym na łamach kwartalnika „Modern Age”, który postuluje konieczność powrotu – w uwspółcześnionej wersji – do „małych republik” Jeffersona. Już w ostatnich latach XVIII wieku, w listach do Jamesa Monroe i Johna Taylora, Jefferson zauważał, że zasadą władzy federalnej jest przejmowanie kompetencji wszędzie tam, gdzie można mieć wątpliwość, czy te należą się władzy federalnej, czy stanowej. W liście do Taylora w roku 1798 pisał, że *w ciągu zaledwie dziewięciu czy dziesięciu lat nasz rząd generalny stał się bardziej arbitralny w swoich poczynaniach i połknął więcej społecznej wolności niż rząd Anglii*. Jak już nieraz o tym wspominałem⁶, od samych początków państwa amerykańskiego współzawodniczyły ze sobą dwie koncepcje ustrojowe, jedna, Aleksandra Hamiltona – państwa skonsolidowanego o silnej i scentralizowanej władzy – i druga, Jeffersona – państwa o ograniczonej władzy federalnej i daleko posuniętej suwerenności stanów oraz ich obywateli, mających także obieralne przez siebie władze hrabstw i jeszcze mniejszych jednostek administracyjnych. Zwyciężyła koncepcja Hamiltona. Nie sposób orzec, co stałoby się Stanami Zjednoczonymi, gdyby ich historia potoczyła się wedle wskazówek Thomasa Jeffersona, ale trudno dziś konserwatyście nie przyklasnąć takiemu zdaniu Versluisa (jasno tylko zastrzegając, że samemu Hamiltonowi żadna gigantomania bliska nie była):

Dość już długo ćwiczyliśmy się w hamiltonowskim eksperymencie scentralizowanej władzy, lichwy i gigantomanii.

Tylko czy jakkolwiek powrót do wizji jeffersonowskiej, nawet uwspółcześnionej, ma szanse powodzenia? Versluis zdaje sobie sprawę z konsekwencji rozwoju technicznego oraz zaniku ziemiaństwa, które było ostoją ładu społecznego zwłaszcza na amerykańskim Południu, i mimo wszystkie te i inne przeszkody sądzi, że Amerykanie nie mają innej szansy, jak spróbować zbudować na nowo społeczności lokalne, z gospodarką w możliwie dużej mierze opartą na lokalnych zasobach. Innymi słowy, szansą Amerykanów jest ożywienie postaw prawdziwie konserwatywnych. Jego zdaniem, choć postulowana odbudowa wymagałaby stu lub więcej lat, nie można z góry zakładać, iż jest niemożliwa, i należy próbować.

W „planie” Versluisa pobrzmiewa może nuta marzycielstwa, odwoływanie się do przykładu współczesnych amiszów, wspólnot anabaptystów i jednego gospodarczo samowystarczalnego hrabstwa w Południowej Dakocie to za mało, ale też starań kolejnych hrabstw oraz władz miejskich o stworzenie warunków dla częściowej samowystarczalności ekonomicznej nie należy zupełnie lekceważyć. I właściwe pytanie brzmi, czy Amerykanie zostali już zniewoleni nieodwracalnie, czy też tkwi jeszcze w nich moc odrodzenia się. A na to pytanie nikt nie zna odpowiedzi.

Znamy natomiast obecny stan amerykańskiej cywilizacji i jego opisowi poświęca „Modern Age” niemało miejsca po to, by także poprzez ten opis przywracać znaczenie słowu „konserwatyzm”.

⁶ Ostatnio, dość obszernie, przy okazji południowych agrariuszy, ARCANA 68 (2/2006).

Gdzie jesteś Ameryko?

Stephen Bertman, emerytowany profesor kanadyjskiego Uniwersytetu Windsorskiego, przedstawia w tym samym numerze, w którym ukazał się esej Arthura Versluisa, kryzys Stanów Zjednoczonych na tle schyłku i upadku Rzymu. Bertman powtarza za lordem Actonem: *Każda instytucja ma tendencję do upadnięcia za sprawą braku umiaru w stosowaniu się do swojej własnej zasady podstawowej*. I przygląda się zasadom założycielskim Rzymu, poczynając od głodu władzy, który z czasem doprowadził do zjawiska nazwanego przez historyka, Paula Kennedy'ego, nadmiernym rozciągnięciem imperium. Krótko przedstawia rzymską koncepcję materialnej gratyfikacji jako podstawy dobrego życia, socjopsychologiczne konsekwencje rozrostu imperium, zawsze zimny i autorytarny charakter kultu religijnego Rzymian, by w nich wszystkich znaleźć ziarno przyszłego upadku.

W przypadku Ameryki, prof. Bertman zdecydował się na niezwykle uproszczenie analizy, a jednak bez kłopotu pokazał jak dobrze do Stanów Zjednoczonych pasuje ostrzeżenie lorda Actona. Zamiast na bardziej złożonych zasadach założycielskich, o których Russell Kirk napisał kiedyś opasły tom⁷, oparł się na jednym zdaniu amerykańskiego dokumentu założycielskiego, mianowicie na jednym zdaniu Deklaracji Niepodległości. Czytamy tamże, iż Stworzyciel wyposażył ludzi w pewne niezbywalne prawa, wśród których jest prawo do życia, wolności i poszukiwania szczęścia. Amerykanie rzeczywiście uznali wolność za podstawową zasadę dzieloną przez cały naród. Dlatego to sto lat później postawili na nowojorskim wybrzeżu Statuę Wolności. Ale już po kolejnych paru dziesiątkach lat Viktor Frankl, psycholog i filozof, radził swoim rodakom, by na kalifornijskim wybrzeżu postawić Statuę Odpowiedzialności. Niestety nie ze względu na obecność odpowiedzialności w życiu społecznym i rodzinnym, a ze względu na jej zanik. Zachodnie Wybrzeże było pierwsze w przemianieniu wolności w chorą swobodę obyczajową i pochwałę wszelkiej nienormalności, byle realizującej się w imię tzw. wolnego wyboru jednostki. Zbyt dobrze wiemy, jak chore traktowanie wolności jednostki obecnie wygląda, by się nad tym smutnym zjawiskiem dłużej zatrzymywać.

Nie lepiej jest z poszukiwaniem przez jednostkę szczęścia. Za sprawą bogactw naturalnych Ameryki oraz talentów jej obywateli szczęście zostało szybko związane z postępek materialnym. I oto dziś zgoła trafne jest stwierdzenie, że w *ostatecznym rozrachunku Amerykanin jest lojalny nie wobec Boga czy ojczyzny, a wobec [obowiązku] konsumpcji*. Nikt nie zauważa, jakim nonsensem jest uznanie wskaźników ekonomicznych za podstawowy miernik sytuacji kraju. Rozwój technologiczny nie tylko czyni nas bogatszymi i nasze życie wygodniejszym, lecz, *parafrazując [Henryka Dawida] Thoreau, nieświadomie stajemy się narzędziami naszych narzędzi*. Poddane dyktatowi zdobyczy technicznych, nasze pragnienia przestają być naprawdę nasze. Pogoń za takim „szczęściem” jest coraz szybsza i coraz bardziej stresująca. Niesłychane tempo życia jest dla Amerykanina jak narkotyk, od którego się uzależnił. Telewizja dostarcza zmęczonemu i ogłupiałemu obywatelowi rozrywki, trzeba dodać rozrywki niewyobrażalnie prymitywnej, w ilościach ogromnych, największych na świecie. Jak ostrzega krytyk Neil Postman, a cytuje go Bertman, nie można wykluczyć, że obywatele Stanów Zjednoczonych uczestniczą w zabawie, w której *zabawią się na śmierć*. Nic dziwnego, że żyjący w takim klimacie absolwenci szkół i uczelni mają coraz mniejsze pojęcie o historii własnego kraju. Reasumując,

⁷ Oczywiście mam na myśli Russella Kirka „The Roots of American Order”.

Siła tego co „teraz” sprawiła, że cierpimy na kulturalną amnezję, będącą społecznym odpowiednikiem choroby Alzheimera.

I choć prawdą jest, pisze Bertman, że Ameryki dotyczy również problem nadmiernego rozciągnięcia imperium, to krajowi temu grozi upadek wynikający z przyczyn ściśle wewnętrznych.

Deklaracja Niepodległości mówi też, że Stworzyciel uczynił ludzi równymi. Jasne, że chodziło o równość wobec Boga, ale przecież i tę równość Ameryka wypaczyła, interpretując ją dziś na sposób jakobiński, oddawszy cześć bożkowi powszechnego prawa głosu oraz demokracji bez Boga. Tego wątku Bertman nie poruszył w swoim artykule, ale uczynił to w dłuższym i bardzo dobrym eseju prof. Jude Dougherty, emerytowany dziekan Szkoły Filozofii Katolickiego Uniwersytetu Ameryki („Modern Age” 48/2, wiosna 2006). Wątek złe rozumianej równości łączy się rzecz jasna z wątkami, na których skupił się wcześniej prof. Bertman. Gdyby chcieć streścić najważniejszą myśl eseju Dougherty’ego w jednym zdaniu, najlepiej byłoby posłużyć się takim z tego eseju cytatem, odnoszącym się do krajów Zachodu:

Jacques Maritain miał rację twierdząc, że narody będą musiały prędzej czy później opowiedzieć się za lub przeciw Dobrej Nowinie, albowiem bez tego demokracji utrzymać się nie da.

Profesor Dougherty przywołuje także wielkiego wroga chrześcijaństwa, Fryderyka Nietschego:

Anglicy wykazują się brakiem konsekwencji pozbywając się chrześcijańskiego Boga [i jednocześnie] tym mocniej wierząc, że muszą pozostać wierni chrześcijańskiej moralności. Zapominają, że fundament ich moralności stoi i upada wraz z wiarą w Boga.

Dougherty przypomina, że reformacja, kładąc nacisk na wolność jednostki, utworzyła drogę do politycznego liberalizmu, *niezdolnego do uznania wyższego ładu moralnego*. Zwraca uwagę, że postępująca sekularyzacja mas zaciemnia świat przedpolitycznych wartości, na których opiera się odziedziczony po poprzednich pokoleniach ład polityczny. I nie wierzy, że pomimo stałych ataków na tradycyjne wartości, społeczeństwo zdoła zachować zdolność czynienia właściwych rozróżnień oraz podejmowania dobrych decyzji. W tym kontekście, biorąc jeszcze pod uwagę niejednorodność społeczeństw Zachodu (m.in. na skutek masowej imigracji przybyszów z obcych kultur) oraz powszechne prawo głosu, Dougherty analizuje słabość zasady tolerancji – sformułowanej przez Johna Rawlsa -- jako rzekomego fundamentu stabilnego i sprawiedliwego społeczeństwa wolnych i równych obywateli, wyznających różne doktryny religijne, filozoficzne i moralne. Mieli rację stoicy i Arystoteles, i miał rację św. Tomasz z Akwinu nie wymieniając tolerancji wśród cnót. A jeśli dziś tolerancja jest obecna i pomaga żyć w pokoju, to tylko dlatego, że pomimo 200 lat nieustającego ataku na chrześcijańskie korzenie naszej kultury, korzenie te ciągle chronią Zachód przed upadkiem i dają podstawę, którą trzeba „mieć”, by móc tolerować „coś innego”. Gdyby korzenie te zostały w końcu odcięte, na niczym nie ufundowany liberalny ład społeczny można by utrzymać jedynie siłą. Czyli, odnosząc się do starego kontynentu,

Spółeczeństwa Europy miałyby przed sobą tylko dwie drogi – jedną, ku świeckiemu totalitaryzmowi, jakiego już doświadczyły w przeszłości, i drugą, zastąpienia chrześcijaństwa pewnym siebie islamem.

Zdanie to stosuje się także do Ameryki, chociaż obydwa kontynenty kroczą nieco różnymi drogami (dla przykładu, różnie wygląda zagrożenie islamem, biurokracja wszelkiego rodzaju jest w Europie większa niż w USA, ale nie ma to większego znaczenia⁸).

⁸ Co ciekawe, gdy Bertrand de Jouvenel przewidywał w latach 40-tych ubiegłego wieku rozrost biurokracji i przy okazji pozbawienie elektoratu wpływu na nominalnie demokratyczne państwo, przewidywania swoje budował na obserwowaniu Ameryki Franklina Roosevelta.